

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona -- 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ " -- 40 "
 $\frac{1}{4}$ " -- 20 "
 $\frac{1}{8}$ " -- 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Tonący wóz.

Ustąpienie p. Wł. Grabskiego być może poruszy wreszcie to stojące bagno, w jakim znalazło się całe państwo polskie, a wraz z nim i nasz kraj, po dwuletnich jego rządach, niemal dyktatorskich.

Jak to często bywa w Polsce, p. Grabski osiągnąwszy zamierzony cel — stabilizację kursu złotego, stał się bożyszczem narodowym. Sławiono go jako męża opatrnościowego, patrzano pobłażliwie na zanik praworządności w polityce wewnętrznej, wybaczano mu jego wysoce niemoralną taktykę zjednywania sobie większości na terenie sejmowym, znoszono nawet cierpliwie dający się coraz bardziej dotkliwie we znaki ucisk podatkowy. Grabskiemu wszystko uchodziło, wszystko mu było wolno.

Odzywające się cicho i rzadka głosy krytyczne, przepowiadające katastrofalny wynik gospodarki finansowej p. Grabskiego, tłumiono okrzykiem powszechnego zaufania i entuzjazmu dla geniuszu premiera, którzy potrafił zadać kłam przysłowiu, że z pustego i sam Salomon nie naleje.

Przez długi czas nie zastanawiano się zupełnie, jakim kosztem została osiągnięta owa osławiona stabilizacja i do czego doprowadzi ten proklamowany z wyżyny fotelu ministerjalnego i gorliwie szerzony wśród szerokiego ogółu, graniczący z fetyszyzmem, kult złotego. Dopiero, gdy rzekomo ustabilizowany złoty zachwiał się nagle, a jednocześnie rozpoczęły się na wielką skalę bankructwa przemysłowe, handlowe i finansowe, gdy zaczęło się wzmacniać w zaskarżający sposób bezrobocie, autorytet p. Grabskiego zachwiał się również, a wiara w jego zdolności finansowe rychło ustąpiła miejsca ogólnemu sceptycyzmowi i nieufności.

Mimo powszechnego niezadowolenia pozycja p. Grabskiego była jeszcze tak mocną, że w przed-

dzień niemal swej dymisji otrzymał od Sejmu votum zaufania dzięki poparciu nieprawdopodobnej koalicji skrajnej prawicy ze skrajną lewicą: endecji z P. P. S., przewanej z tego powodu ironicznie, lecz nie bez słuszności „czerwoną gwardją“ p. Grabskiego.

Zupełnie nieoczekiwanie, w parę dni po odniesionem zwycięstwie nastąpiła z niewyjaśnionych dotąd dokładnie powodów dymisja gabinetu w okolicznościach niezwykłych, bo niezależnie od postawy Sejmu i z natychmiastowem usunięciem się premiera od pełnienia podwójnych swych obowiązków jako prezesa gabinetu i ministra skarbu — wbrew przyjętym zwyczajom konstytucyjnym, nakazującym ministrom pozostawanie na swem stanowisku do czasu utworzenia nowego rządu.

Wskutek swej ucieczki z posterunku, p. Grabski utracił w jednej chwili całą swą popularność i stał się przedmiotem ostrych napaści, co zresztą jest zwykłym zjawiskiem w życiu polskim, gdzie raz po raz zmienna opinja prowadzi kogoś na Kapitol, by następnie stracić go ze skały Tarpejskiej. Takiemu losowi ulegli Piłsudski, Paderewski, do pewnego stopnia Korfanty, wreszcie Grabski.

W chwili, gdy to piszemy, przesilenie ministerjalne nie jest jeszcze zażegnane. Wysuwane są najprzeróżniejsze kombinacje, a nie są wykluczone rozmaite niespodzianki, których przedsmak daje niesłychane w dziejach państw o ustalonym ustroju konstytucyjnym wystąpienie marszałka Piłsudskiego, ostrzegającego Prezydenta Rzeczypospolitej przed powoływaniem do nowego gabinetu niemiłych sobie osób.

Jakikolwiek jednak będzie wynik obecnego kryzysu, należy mieć nadzieję, że skończy się wreszcie dotychczasowy okres rządów połowicznych, niezdecydowanych, bałamutnych, których wiernym symbolem może być ów kazirodzcy związek endecji z P. P. S. Być może polityka, którą zainicjuje nowy

rząd, będzie jeszcze bardziej reakcyjna, ale niech to będzie reakcja wyraźna, otwarta, nie zamaskowana pozornymi ustępstwami na rzecz liberalizmu i tolerancji, w rodzaju osławionych ustaw językowych. Jeżeli zaś przyjdzie do władzy t. zw. „centrolew” t. j. gabinet złożony ze stronnictw środka i lewicy, to przekonamy się wreszcie, jakie jest oblicze istotne lewicy polskiej, czem się właściwie różni ona od prawicy i czy potrafi ona wcielić w życie te wszystkie gromkie hasła i zasady, jakimi dziś operuje pozostając w opozycji i zwalając winę obecnych niedomagań w życiu państwowym na prawicę.

Tak lub owak wóz państwowy ruszy zapewne z bagna, w którym ugrzązł od dłuższego już czasu i albo połamie sobie osie i koła, albo wyjdzie na jakąś twardą drogę. W warunkach dotychczasowych groziło mu powolne zatonięcie w trzęsawisku, zupełnym zgnilizną moralną i próchnym materjałem.

Nim by to zaś nastąpiło, w pierwszym rzędzie oczywiście poszłyby na dno nieszczęsne „Kresy!”.

Kultura i polityka.

Prawie każde odkrycie czy też wynalazek mają do siebie, że natychmiast znajdują się sceptycy, powiadający, że to już dawno miało miejsce, a obecnie tylko na nowo zostało odgrzebane. I poniekąd może słusznie, bo przecież odkrycie to tylko stwierdzenie faktycznego stanu rzeczy, którego to stanu ludzie przedtem nie widzieli, albo też widzieć nie chcieli, z wielu bardzo względów. I każde odkrycie staje się niem, ponieważ znajduje się człowiek lub ludzie, którzy w odpowiedniej chwili rzucili odpowiednie światło na ów stan rzeczy, dokładnie go przedstawiając. Bez uwzględnienia przymiotników „odpowiedni” „właściwy” wszelkie odkrycie poza samym wynalazcą echa nie znajdzie i skutków żadnych nie pozostawi.

„Odkrycie” takie uczynił i S. K—i w artykule „Kultura i polityka” *). Podaje autor wyniki pracy nad odbudowaniem kultury białoruskiej w Białorusi Sowieckiej i do nader smutnych wniosków dochodzi. Gazet białoruskich nie czytają, bo przyzwyczaili się do rosyjskich, nauczycielstwo nie zbyt garnie się do szkolnictwa swojskiego, brak podręczników, ponieważ mało drukują po białorusku, teatr białoruski na Wschodzie zapada w stan martwoty, słowem raczej o upadku kulturalnym w Sow. Białorusi należałoby mówić a nie o odrodzeniu. Zdarzają się przecież wypadki, że w instytucjach urzędowych pod samym Mińskiem szyskanują język białoruski.

Oczywiście musi powstać pytanie, dlaczego to tam, gdzie są, zdawałoby się, najpomyślniejsze warunki dla rozwoju kultury białoruskiej, ogląda się tego rodzaju zjawiska?! I oto autor podaje racje, przyczyny, skutkiem których wytworzył się jakby stan martwoty kulturalnej:

„Kiedy ruch białoruski wzmógł się ogromnie, co przypada na rok 1917—1918, to można było oglądać, jak wszystkie siły inteligentne białoruskie „poszły robić politykę”. Robotą polityczną zajęli się

nauczycielowie, oficerowie, żołnierze, duchowieństwo, kooperatyści, publicyści, adwokaci, inżynierowie, lekarze, artyści, czyli kto mógł oddać się ciałem i duszą polityce.

Prawda, że przy napięciu wszystkich sił białoruskich, polityka szybkimi krokami posunęła się naprzód; ruch białoruski nabiera takiej mocy, że z nim zaczynają się rachować i bolszewicy i Polacy, a o Białorusi zaczęto mówić i w kraju i zagranicą. Dzięki temu bolszewicy uznają i propagują w swoim rodzaju „niepodległą” Białorus i w początku odstępują 6 powiatów Mińszczyzny; Polacy przez usta wodza swego Piłsudskiego obiecują stworzyć wojsko białoruskie, jak również autonomję.

Jakie były losy tych „autonomij” doskonale wiemy, skutek był taki, że zarówno tutaj w Polsce, jak i tam w Rosji — Białorusini obecnie są zmuszeni walczyć o prawo życia narodowego. Nie mówię o prawa polityczne, ale o prawo życia narodowego. Oto, czego jesteśmy świadkami, pomimo całej potęgi ruchu białoruskiego.

Cóż to za zagadka? gdzież się kryje tajemnica?!

A w tem tylko, że *polityka białoruska wyprzedziła kulturę białoruską.*

Jeszcze w okresie największego rozpędu ruchu białoruskiego, niektórzy z pracowników na niwie kulturalnej, jak np. J. Losik, ostrzegali, że źle się może skończyć to przejście się ogólne politykomanią; powiadali oni również, że polityka bez kultury nic nie jest warta, że będzie to wicher który dzisiaj pędzi w jedną stronę, a jutro potrafi w inną całkiem zawrócić. Kultura zaś jest czemś stałym, trwałym, z czem będzie zmuszoną rachować się nawet wroga polityczna siła, Polityka — to trzcinka, którą wiatr chyli na wszystkie strony, kultura zaś to kamień, który nie łatwo poruszyć i z ziemi wyciągnąć.

Te ostrzeżenia sprawdziły się w całej rozciągłości, już obecnie. Politycznie Białoruś wzmogła się i rozszerzyła, ale kulturalnie osłabła. I akurat tam, gdzie jest mocniejszą stroną polityczną, tam gorzej z kulturą, właśnie tam, po tamtej stronie granicy, w Białorusi Sowieckiej”.

Odkrycie rzeczywiście smutne. Może zbyt dużo w tym obrazie ciemnych barw, ale w głównych rysach — jest on zgodny z rzeczywistością. Nazywam to odkryciem, chociaż oczywiście nie po raz pierwszy dają się słyszeć głosy podobne.

Już nawet nie w latach 1917—18, ale o wiele wcześniej, bo w r. 1914—15, następuje rozdźwięk pomiędzy pracownikami białoruskimi na tem tle właśnie. Poczynania białoruskie przedwojenne zamykały się wyłącznie w sferze kulturalno-oświatowej. Polityka była uprawiana przez grupy inteligentkie, zorganizowane partyjnie. Ale te dwie dziedziny ze sobą nie kolidowały. Był to „złoty wiek” w stosunkach wzajemnych. Ale rzeczą jest zupełnie zrozumiałą, że faktów dokonanych w zupełności przekreślić już nie można. Pewne rzeczy wymazaniu i zapomnieniu nie podlegają. A w ostatnim okresie 10-letnim Białorusini przeżyli wiele, wiele momentów, których wyrzec się już nie mogą. I rola tych Białorusinów, którzyby i nadal chcieli pozostać w okresie rozwojowym przedwojennym jest nieraz ciężką ogromnie. O ile pracują (a bardzo niewielu ludzi czynnych tego rodzaju pozostało), to często są połowicznymi. Chcieliby zupełnie ani wiedzieć, ani słyszeć o polityce, partji tego lub innego kierunku, nie chcą zupełnie zaprzętać sobie głowy kwestją przyszłej państwo-

*) „Krynica” № 16 z 19/IV—1925 r.

wości białoruskiej, jej rodzajem, ustosunkowaniem się do sąsiadów i t. d., a tymczasem oto wytworzyła się naokoło atmosfera tak przesycona polityką, że pomimo ich woli są wciskani w pewne ramki polityczne. I dlatego szeregi tych pracowników obecnie mocno rzędą (jest to jedna z przyczyn — „wewnętrzna”, wiemy naturalnie, że istnieje również mnóstwo innych zewnętrznych).

Pojęcie polityki, jak wiadomo, nie ma w sobie stałości, tyle widzimy dla niej określeń najrozmaitszych w różnych okresach historii. Pochodzi to stąd, że w każdym okresie inne dominują hasła zasadnicze. W naszym wieku, wieku walki o dyktaturę i to dyktaturę świadomą, dążenie to musiało wycisnąć swe piętno przedewszystkiem na polityce.

Jednostronność i wyłączość wpływająca z dyktatury jednego kierunku politycznego, zapanowała i u Białorusinów. Wielu ludzi, inaczej myślących niż grupa kierownicza, musiało odejść od pracy, czy też zwięzić ją do szczupłych już bardzo rozmiarów.

I jeszcze jedną ważną zmianę w ruchu białoruskim (trudno odpowiedzieć czy to się ujawniło jako skutek, czy też jako przyczyna) spowodowała zmiana ogólna w ustosunkowaniu się doń obywateli krajowych a szczególnie Polaków. W okresie po r. 1905, kiedy naogół w Polsce zaczęła zwyciężać idea Polski piastowskiej a zamierać tradycje Jagiellońskiej, wtedy względnie spora ilość Polaków, stojących na gruncie krajowości, zajmowała przychylnie stanowisko względem odrodzenia białoruskiego. Życzliwość ta sięgała nieraz daleko a rozmaite przybierała formy. Obecnie stan rzeczy uległ zmianie radykalnej. I gdzie, po czyjej stronie szukać mamy winy w tej zmianie na gorsze? Czy też może wina leży w nowych prądach, które powstały wskutek głębokich przewrotów?

Przeciętnie Polak w okresie przedwojennym nie wyobrażał sobie, by skromny ruch odrodzeniowy białoruski wzmógł się tak potężnie i oparłszy się o masy ludowe, wysunął koncepcję własnej państwowości. To z jednej strony, a z drugiej — znowuż przeciętnie Polak żaden nie mógł przewidzieć jako wyniku wojny — powstania państwowości polskiej. I chociaż państwowość białoruska została narazie odsuniętą może i w daleką przyszłość, to jednak obydwa powyższe momenty spowodowały całkowitą zmianę orjentacji w myśli politycznej polskiej. Wszelkie poczynania białoruskie zaczęto zaliczać do rubryki politycznej, innemi słowy widziano w nich dążenie do niepodległości, a przeto zamach na całość państwa polskiego. Za ledwie garść Polaków inaczej myślała, lecz oczywiście nie była w stanie wywrzeć skutecznego wpływu.

I u Białorusinów tak bliskie tradycje przykładowego współzycia zamierają zupełnie i zaczyna panować dążność do absolutnego separatyzmu, zerwania ze wszystkim, co ma łączność ze szlachcicem, inteligentem spolonizowanym, chociaż odwiecznym mieszkańcem tego kraju i do całkowitego zidentyfikowania białoruskości z elementem ludowym. W rezultacie częste wypadki przed wojną i w okresie wojny pracy w organizacjach białoruskich ludzi ze sfer, które ryczałtowo zaliczały się uprzednio do narodowości polskiej, obecnie nie mają zupełnie już miejsca. Oj szeregu już lat kadry inteligencji są zasilane wyłącznie elementem włościańskim, bo mieszczaństwo białoruskie — to rzadkość. Nie chodzi tutaj o brak udziału w pracy wszystkich stanów kraju, ale pomijając chociażby ilościowy ubytek pracowników, o fakt krzywdy czynionej może wielu ludziom, wskutek zamknięcia przed nimi możliwości być nie tylko

prawowiernymi, lecz i oficjalnymi dziećmi Białorusi. I nic tutaj nie pomoże twierdzenie, że przed tymi, którzy chcą wejść — drzwi nie są zamknięte. Odpowiedzialność ciąży na tych, co stan ten wywołali. Winę tu ponoszą politycy białoruscy, rzucający hasła skrajne i uszczuplający, w imię przesadnej czystości narodowej, szeregi białoruskie.

W ten sposób rozpolitykowanie stworzyło to, co się rzuca w oczy w Białorusi sowieckiej, gdzie kontrast między tem, co być powinno a tem co jest — jest bardziej jaskrawy, a mniej widoczny w naszych warunkach. A dość byłoby porównać teraźniejszość ze stanem z przed lat kilku, by pomimo wszystko cofanie się a nie postęp w pracy nad wzbogacaniem kultury narodowej, stwierdzić można było na każdym polu. Usprawiedliwiać mogą i usprawiedliwiają inteligencję białoruską warunki znowuż natury politycznej. Ale zbyt dużo kładzie się na karb tych warunków. Tak czy inaczej te warunki istnieją i licząc się z nimi trzeba pracować. Ciągłe oczekiwanie jakichś nadzwyczajności, wielkich wydarzeń, które mają przynieść możliwość pracy łatwiejszej, stale trwać nie może. I nie trzeba zapominać, że pokolenie młodsze, w krew którego „politykowanie” nie weszło i któremu zgoła obca jest atmosfera dni niedawnych, zaczyna się dezorientować. Powstają załamania się liczne w duszach młodych i stwarza się poważny rozdzwitek między starszym a młodszym pokoleniem. A to może zapowiadać dłuższą i gorszą jeszcze stagnację.

Z drugiej strony kultura, ów ciężki kamień, według wyrażenia „Krynicy”, może być jedynie trwałym fundamentem, którego wstrząsnąć nie potrafią takie czy inne kombinacje i kompromisy polityczne. I dlatego właśnie „odkrycie” uczynione w „Krynicy” przychodzi jak nigdy w porę, by zwrócić uwagę gdzie należy na chwilę poważną i stwierdzić, że pora najwyższa, by już wejść na inną drogę.

Dryhwick.

Wynarodawianie pod hasłem misyjnym.

W sferach kościelnych w Polsce od niedawna stała się aktualną kwestją misyjna. Tworzą się związki i towarzystwa propagandy wiary, powstaje literatura, odbywają się zjazdy...

Właśnie w końcu września obradował w Krakowie I-szy Zjazd Dyrektorów Związku Misyjnego Kleru w Polsce.

Znamienna rzecz, że na zjeździe nie było przedstawicieli biskupów grecko-katolickich. Metr. Szepczycki w kwestji współpracy misyjnej z konfratrami łacińskimi zarezerwował sobie czas do namysłu, dwaj inni biskupi nie zadali sobie fatygi nawet odpowiedzieć.

Krótko mówiąc, pierwszy wszechpolski zjazd misjonarski nie znalazł uznania ze strony episkopatu gr-katolickiego, najważniejszego zresztą czynnika w sprawach tego rodzaju.

Czem tłumaczyć fakt ten?

Ruch misyjny w Polsce powstał nie tyle samorzutnie, ile raczej pod wpływem nakazów z Rzymu. Im to zawdzięczać należy, że ruch ten główne swe łóżysko skierował w stronę prawosławia: papieżowi zależy na nawróceniu prawosławnych, Polsce-na zaszczytnem zadaniu wykonania zamiarów papieskich.

Inaczej jednak do tej pracy zabiera się Rzym, inaczej — u nas. Instrukcje papieskie idą po linii hasła: *euntes docete omnes gentes*, z wyłączeniem z niego korzyści politycznych i narodowych. Aby uniezależnić i zabezpieczyć ludność prawosławną od wynarodawiania, Pius XI wskazał nawet nową formę zjednoczenia, polegającą na tem, że nawrócone parafje prawosławne, przechodząc pod jurysdykcję biskupów katolickich, zachowują i nadal swój obrządek wschodni.

W ten sposób, przekreślił papież tezę pierwszeństwa latynizmu przed obrządkiem wschodnim na rzecz zupełnie równej wartości obrządków.

Tymczasem polska myśl misjonarska obstaje nadal na zjednoczeniu w szacie latynizmu.

Dlaczego w obrządku łacińskim, nie innym, wschodnim?

Prasa katolicka u nas albo zbywa milczeniem to pytanie, albo zdradza niezdecydowanie i połowiczność, lawirując w tak ważnej kwestji między Scyllą tezy rzymskiej a Charybdą nocjonalizmu polskiego. To jej stanowisko tłumaczy się z jednej strony bojaźnią narażenia się na gniew i niełaszkę ze strony społeczeństwa i ogółu kleru, z drugiej — potrzebą odwrócenia uwagi katolickiej Europy i odnośnych czynników w Rzymie od istotnych zamierzeń na polu misjonarskiem. Klasyczny przykład siedzenia na dwóch stołkach daje nam „Przegl. Kat.” (№ 32) w artykule „W sprawie unji i unitów”. Nie dowierza on unji, przypisując jej nikłą odporność względem prawosławia, mimo to zastrzega się i przed ekskluzywizmem łacińskim między innymi dlatego, że „wśród pewnego odłamu katolików zachodnich krzewi się i uciera opinja, że główną przeszkodą w nawracaniu prawosławnych stanowią Polacy, którzy, nie mając zrozumienia dla unji, chcą nawracać schyzmatyckie ludy słowiańskie na obrządek słowiański (chyba łaciński?), aby ich przez to tem łatwiej polonizować”.

Pozycja polskiej prasy narodowej jest tu dogodniejsza — nie potrzebuje ona liczyć się z dalekim Rzymem, a opinię publiczną ma za sobą, stąd też w kwestji unji cechuje ją szczerść. Zapatywania jej podaje „Przegl. Kat.” (№ 42): „Niektóre nasze stronnictwa rzekomo w imię interesów „narodowych” zwalczają w swej prasie niedwuznacznie ruch misyjny na Kresach, upatrując w tem przeszkodę do ścisłego i trwałego zespolenia ludności białoruskiej i ukraińskiej z państwem polskiem. Po tej linii idzie: „Słowo Polskie”, „Dziennik Poznański”, „Postęp” poznański, „Rzeczpospolita” i kilka innych czasopism narodowych”. I dalej o misyjnej placówce w Albertynie, prowadzonej przez OO. Jezuitów we wschodnim obrządku:

„Władze świeckie odmówiły swego poparcia, a także część duchowieństwa łacińskiego również niechętnie odniosła się do nowej pracy” (tamże).

Dla precyzji dodajmy, że „Rzeczpospolita” (12. VIII. № 220) nazwała jednego z polskich biskupów (Przeździeckiego) za jego pracę dla unji ni mniej ni więcej, jak manjakiem.

Nikt chyba nie wątpi, że tą samą drogą kroczy endecja wileńska. Dziennik p. Obsta pisze: „Wznawianie unji i narzucanie jej przemocą niemal ludności na naszym gruncie uważamy za rzecz niepotrzebną, niepożądaną i z punktu państwowości naszej wielce szkodliwą” (Dziennik Wil. № 204). Błogosławiając zaś O. Filipa na pracę misyjną i dając mu na drogę *litterae passus*, papieżyk wileński takie mu daje upomnienia: „aby nie rozszerzał jej (misji) na

ludność katolicką obrządku łacińskiego, ani też na tych, przemocą ongiś nawróconych na prawosławie, a ciężących zdecydowanie ku łacińskiemu katolicyzmowi. To jest teren naszej kulturalnej ekspansji i tu jakiegokolwiek usiłowania unickiego kapłana musiałyby się spotkać z najbardziej stanowczym i ostrym naszym sprzeciwem” (tamże).

W czymem imieniu przemawia p. Obsta, pisząc *in plurali*? Zagadka łatwa do rozwiązania. „Dziennik Wil.” czerpie swe natchnienie w sprawach kościelnych na probóstwie poddominikańskim, gdzie się mieści sztab główny endecji duchownej w diecezji wileńskiej. Ona to ręką p. Obsta prowadziła kampanję przeciwko bp. Matulewiczowi, ona wydawała księzom patenty na prawo — i nieprawowierność, judząc jednych przeciwko drugim, ona polonizuje forsownie seminarjum duchowne w Wilnie, zasilaając je aspirantami, pochodzącymi nieraz z przeciwległych kresów Rzeczypospolitej i nic wspólnego nie mającymi z naszym krajem, dziełem też podług jej myśli jest powyższy fajerwerk w sprawie misyjnej, mający zaimponować szerokiemu światu.

Żeby co do stanowiska kleru diecezji wileńskiej w sprawie zjednoczenia kościołów rozwiać resztę wątpliwości, przypomnijmy, że nasz kler endeki nie tylko bojkotuje misjonarzy wschodnio-słowiańskich w Albertynie, ale też i swych łacińskich konfratrów niepolaków (dekanaty Wołkowyski, Miorski...), jak również to jeszcze, że na czele akcji misyjnej stanęli dwaj senatorowie, ks. ks. Maciejewicz i Żebrowski, para akurat zgrana na punkcie domagania się eksterminacji mniejszości narodowych.

Słowem, gdy dla papieża dzieło zjednoczenia kościołów jest dziełem *par excellence* katolickiem, to u nas traktuje się ono tylko, jako pomost do spolonizowania konwertytów! Rzecz oczywista, episkopat gr. katolicki nigdy nie przyłoży ręki do tak pojętej pracy.

Gdy ludzie świeccy robią nieraz wszystko, aby zasypać rowy nienawiści i niezgody tak pomiędzy narodami, jak społeczeństwami, kler endeki jakby umyślnie prapaguje u nas *miecz i rozłazczenie!* Cóż bowiem innego wniesie misja polonizatorska na „Kresy”? Wszak w masach żyje duch prawosławny. Po manifestacie tolerancyjnym, konwersja religijna dotknęła nieznaną ledwo część b. unitów. Jeśli się dziś mówi, że prawosławni żyją samopas i nikną im z roku na rok ich moralne i religijne wartości, to chyba dlatego, że się nie widzi, jak zpod ruin cerkwi carów i jej synodalnych hierachów wyrasta prawosławna cerkiew ludu. Nie w ośrodkach miejskich, a właśnie w głębokiej wsi prawosławnej odbywa się obecnie proces konsolidacji religijnej i cerkiewnej: kler wiejski i „mirianie” doskonale orjentują się już w sprawach swej hierarhji w Polsce i nie ufają jej, jako „prodażnoji”. Przecież ustawa o unifikacji cerkiewnego kalendarza wywołała w masach sprzeciw i została w porę cofniętą. Czem tłumaczyć, że do niedawna puste cerkwi święcą dziś uroczystości przy tłumach wiernych, pogrążonych w modlitwie? Narodowiec polski nazwie to ostatnim oddechem umierającego prawosławia, władze administracyjne za radą p. Obsta szukać będą zaraz agitatorów...

Prawdą natomiast jest i będzie, że prawosławni, po chwilowej prostracji, jeśli się reorganizacji swego życia religijnego i przy pomocy cerkwi, spodziewają się utrwalenia swej zagrożonej egzystencji, między innymi i pod względem narodowym.

Wypada i to podkreślić, że w masach żyje nie tylko duch prawosławny, ale że jest on zrodzony i wychowany w cerkwi moskiewskiej, która w życiu religijnem ludu pojęcie czystego prawosławia odsunęła na drugi plan, a to na korzyść pojęcia bardziej zrozumiałego i dostępnego — wiary rosyjskiej. Czyżby ta wiara, w zetknięciu się z „wiarą polską” miała okazać się słabszą? Okres polskich historyczno-politycznych wpływów na Kresach, do którego tak często odwołują się krzewiciele ideologii: co Polak, to katolik, czy tylko nie minął? Wspomnienia własnej przeszłości, nigdy nie zamrą w duszy ludu białoruskiego i ukraińskiego, a tembardziej tych Rosjan, którzy Litwę i Białoruś za ojczyznę swą uważają.

Misjonarz katolicki, gdy się tylko dotknie duszy prawosławnej, obaczy w niej świat odmienny od ideologii, przeżyć, tradycji i nawyków zachodnich i dlatego nie łatwo mu pójdzie z zasiewaniem do niej ziaren rzymskiego katolicyzmu. Jeśli mu się uda nawiązać kontakt między tą duszą a papieżem na gruncie czysto dogmatycznym, już tego dosyć będzie.

Nad prowadzeniem roboty polonizacyjnej pod firmą misyjną, historia przejdzie do porządku, a ludność prawosławna nie omieszką wystawić jej na pokaz światu, piętnując ten pomysł jako w najlepszym razie anachronizm polityczny.

Kal.

Sytuacja gospodarcza Wileńszczyzny.

W wydawanym od niedawna przez p. M. Goldsztajna piśmie żydowskim „Wilner Mitogblat” ukazał się artykuł, obrazujący plastycznie upośledzenie ekonomiczne i finansowe Wileńszczyzny w szczególności zaś miejscowego żywołu żydowskiego. Poniżej dodajemy w przekładzie dosłownym dłuższy wstęp ze wspomnianego artykułu, mający charakter ogólniejszy.

Jeżeli prawdą jest, że Polska wykazała dużo ofiarności, (?) woli i temperamentu w walce o przynależność polityczną do niej Wileńszczyzny, to prawdą jest także, iż w kierunku zaznajomienia się ze zmianami stosownie do nowych warunków politycznych potrzebami ekonomicznymi naszego kraju, jak również w kierunku stworzenia warunków, które sprzyjałyby odrodzeniu kraju, po zniszczeniu wojennem, i normalnemu rozwojowi jego życia gospodarczego, nie zostało zrobiono nic literalnie. Wręcz przeciwnie — polska polityka rządowa i polskie ustawodawstwo grzeszą zupełną nieznaną oraz ignorowaniem najżywniejszych naszych potrzeb w tej dziedzinie, wskutek czego Wileńszczyzna stała się ekonomicznie najwięcej upośledzoną dzielnicą w całej Rzeczypospolitej.

Najbardziej zniszczona i zrujnowana przez wypadki wojenne i kilkakrotne okupacje, najbardziej potrzebująca wydatnej pomocy finansowej dla celów odbudowy, nie otrzymuje tej pomocy wcale lub otrzymuje ją w rozmiarach, w najmniejszym stopniu nie odpowiadających jej potrzebom. Egoizm bogatych i niezniszczonych przez wojnę dzielnic wprowadził do ustawy o rozbudowie miasta zasadę, iż udział każdej gminy w kredytach na rozbudowę z Państwowego Funduszu Gospodarczego jest proporcjonalny do zebranych przez tę gminę sum państwowego podatku lokalowego. Czyli że im więcej są zniszczone miasta Wileńszczyzny, im mniej wskutek tego będą w stanie zebrać wpływów z państwowego podatku

lokalowego, który, jak wiadomo, służy na cele rozbudowy, — tem mniej też otrzymają na tenże cel z Państwowego Funduszu Gospodarczego. Ten bezprzykładny sposób podziału kredytów na rozbudowę, przy którym Wileńszczyzna, najwięcej tych kredytów potrzebująca, otrzyma ich najmniej, jest charakterystyczny dla całej polityki gospodarczej względem naszego kraju.

Nie lepiej ma się sprawa z kredytem dyskontowym w Banku Polskim dla przemysłu i handlu Wileńszczyzny. W czasie od 28 kwietnia do 31 grudnia 1924 roku Bank Polski zdyskontował ogółem weksli na 946.281.000 złotych, z czego na Ziemię wschodnie przypada 17.002.000 złotych, czyli zaledwie 1,8%, wówczas, gdy na województwa centralne przypada 530.500.000 złotych, czyli około 56%, województwa zachodnie — 145.919.000 złotych, czyli około 15%, województwa południowe — 112.949.900 zł., czyli około 12^{0/5} oraz na województwa Śląskie — 138.408.000 złotych, czyli około 15^{0/5}.

Brak wymiany towarowej z Rosją oraz odcięcie przez Litwę Kowieńską od najbliższych portów morskich (Libawa, Kłajpeda, Królewiec), oddalonych o 300 kilometrów, i konieczność korzystania z Gdańska, oddalonego o 800 kilometrów, spowodowały, iż Wileńszczyzna okazała się zamkniętą jak w worku na najbardziej oddalonym krańcu Rzeczypospolitej. Te fatalne warunki komunikacyjne powojennej Wileńszczyzny mogłyby być do pewnego stopnia złagodzone przez odpowiednie ulgi taryfowe. Lecz, niestety, nasze taryfy kolejowe są tak skonstruowane, iż dla odległości ponad 600 kilometrów opłata za każde dalsze przebyte 10 kilometrów wzrasta szybciej, niż dla odległości mniejszych, niż 600 kilometrów, czem jeszcze bardziej zaostrza się naszą złą sytuację komunikacyjną.

Wobec tego przewoźne z Wileńszczyzny do portu morskiego lub odwrotnie jest obecnie 2 — 3 razy wyższe, niż przed wojną.

Z brakiem należytego rozumienia oraz uwzględnienia naszych potrzeb gospodarczych idzie w parze niepomiarne obciążenie podatkowe. Nader charakterystyczne pod tym względem, a także cenne dla określenia ogólnego stanu Wileńszczyzny dane dostarcza nam opracowana przez Departament Podatków Ministerstwa Skarbu statystyka wymiaru podatków w roku 1924. Dane te, odnoszące się do podatku majątkowego, wykazują, iż najuboższym pod względem ogólnej wartości majątków przedstawia się okręg wileński. Jednocześnie pod względem stosunku wpływów z tegoż podatku do wymiaru Wileńszczyzna, która uiściła 85% należności, zajmuje drugie miejsce pośród wszystkich innych dzielnic po Poznańskim, które uiściło 87%; najmniej — bo tylko 21% należności — uiścił oczywiście najbogatszy Śląsk.

Skutki tego traktowania po macoszemu potrzeb gospodarczych Wileńszczyzny są bardzo opłakane. Sprawa odbudowy stoi na martwym punkcie. Przemysł i handel pozbawione kredytów i rynków zbytu, pozostawione własnym siłom, natychmiast, przy pierwszych objawach kryzysu gospodarczego utraciły z trudem odnowione po wojnie pozycje. Zniszczenie wojenne, brak kredytów i niepomiarne wydłużenie naszych linii komunikacyjnych, oraz zbyt wysokie obciążenie podatkowe wzmogły drożyznę. Gdy ogólny wskaźnik cen, przy wskaźniku dla Warszawy, równym 100 stanowił dla Wilna w roku 1914-ym 84,3, tenże wskaźnik w połowie roku 1925 stanowi 98,4. Wadliwa polityka taryfowa zniszczyła nasz eksport drzewny

który powinien być jedną z głównych podstaw dobrobytu kraju i który naogół dla całej Polski w roku bieżącym wzrasta bardzo pokaźnie. Stagnacja w całym przemyśle i handlu powoduje wzrastające progressywnie bezrobocie i pauperyzację ludności.

Z mego notatnika.

O jednostronności i optymizmie „Kurjera Wileńskiego”.

Sporo miejsca w tym numerze zmuszeni jesteśmy poświęcić „Kurjerowi Wileńskiemu”, a to z kilku powodów.

Przedewszystkiem nie możemy pozostawić bez odpowiedzi dwóch artykułów w tem piśmie, atakujących „Przegląd Wil.” całkowicie bezpodstawnie.

Ze recenzja nasza o wydanej przez Wil. Biuro Informacyjne pracy p. Wielhorskiego nie przypadła do gustu przyjaciółom autora i wydawców, to nie jest jeszcze racja, aby stając w jej obronie posuwać swą usłużność do jaskrawej przesady. Przesadą bowiem niewątpliwą jest dopatrywanie się w naszej krytyce oskarżenia społeczeństwa polskiego w państwie litewskim wogóle, a p. Wielhorskiego w szczególności o zdradę stanu. Tego rodzaju zarzut — chciejmy wierzyć, nie podyktowany przez perfidję, — w żaden sposób nie da się wysnuć z naszego twierdzenia, że Polacy litewscy wespół z p. Wielhorskim pozostają pod presją teorii o suwerenności sejmu i rządu warszawskiego względem wszystkich Polaków, gdziekolwiek by się znajdowali na kuli ziemskiej.

Być zwolennikiem i wyznawcą pewnej ideologii, chociażby najbardziej sprzecznej z interesami danej państwowości, — wolno każdemu obywatelowi i żaden kodeks karny za przekonania do odpowiedzialności nie pociąga, o ile przekonania te nie są poparte czynem. Exemplum: komunizm w Polsce. Więc i p. Wielhorskiemu i każdemu obywatelowi państwa litewskiego narodowości polskiej wolno wyznawać teorię o konieczności podporządkowania interesów polskich lokalnych interesom narodu polskiego, jako całości i mimo to nie wykraczać poza granice lojalności, przewidzianej w prawie. Do zdrady stanu droga od tego punktu jeszcze jest bardzo odległa. Wskazywanie zresztą palcem na czyny antypaństwowe p. Wielhorskiego pozostawiamy „Słowu” .. Prawdą tylko jest, że nie potrafimy przytoczyć żadnego dokumentu drukowanego na poparcie naszego sądu o poglądach p. Wielhorskiego, chociażby dlatego, że poza omawianą pracą innych jego wystąpień publicystycznych nie znamy, ale bo też swoje twierdzenie opieraliśmy nie na drukowanych artykułach, lecz na ustnym jego oświadczeniu, wygłoszonym wobec redaktora „Gazety Krajowej” jeszcze w r. 1920. Być może od tego czasu p. Wielhorski zmienił swe zapatrywania. W takim razie przepraszamy go najmocniej i słowa swe cofamy.

Poza powyższym szczegółem „Kurjer Wil.” zarzuca naszej recenzji wogóle jednostronność w ocenie stanowiska Polaków kowieńskich, pomawiając nas bodaj nawet o schlebianie kierownikom państwa litewskiego! Niewątpliwie zaś szowiniści litewscy dopatrzą się w naszych poglądach tendencji polonofilskiej, ponieważ nie zaprzeczamy faktu istnienia nacjonalizmu litewskiego i jego wpływu ujemnego. A pochodzi to stąd, że nasza ocena właśnie nie jest jednostronna, lecz przeciwnie bezstronna. Bo gdy

politycy litewscy zrzucają winę zarządzeń antipolskich wyłącznie na Polaków, „Kurjer Wil.” i wogóle emigracja kowieńska uważa za winowajców jedynie Litwinów. Tymczasem my powiadamy, że winne są obie strony i pozostaje tylko otwartem pytanie, kto pierwszy zaczął. „Kurjer Wil.” twierdzi kategorycznie, że Litwini, sięgając aż czasów zjazdu wileńskiego we wrześniu 1917 r., kiedy to „ludność polską zlekceważono zupełnie, uniemożliwiając w ten sposób wzięcie przez nią udziału w wyłonionej przez Zjazd „Tarybie”.

Być może istotnie w tym momencie należy doszukiwać się genezy zaostżenia obecnego stosunku polsko-litewskich, ale posłuchajmy, co mówi o nim głos, którego bezstronności nie będzie chyba kwestjonował „Kurjer Wil.” Tygodnik „Głos Wilna”, wydawany w r. 1924 przez koła, zbliżone do redakcji „Kur. Wil.”, w № 1 pisze wyraźnie (po uprzedniej krytyce stanowiska litewskiego): „Polscy politycy również niewykazali zrozumienia chwili dziejowej. Zadraśnięci w swej ambicji, odsunięci od roli czynnej przez władze niemieckie, niechętnie wysłuchiwali propozycji Litwinów, którzy występowali w charakterze gospodarzy kraju i twórców państwowości. W wyniku układów Polacy uchwalili odmówić udziału w t. zw. „Tarybie”, czyli Radzie Stanu, która była, tak samo jak Rada Stanu w Warszawie, zapoczątkowaniem własnej państwowości. Litwini, jeszcze bardziej skonsolidowani w swym nacjonalizmie, zajęli *odtąd* wyraźnie stanowisko antipolskie i zarówno w czasie trwania „Taryby”, jak i od chwili zorganizowania Litwy Kowieńskiej walka z elementem polskim stała się nicią przewodnią państwowej polityki litewskiej”.

Niechęć więc Polaków do państwowości odrębnej litewskiej datuje się od bardzo dawna, bo od czasu okupacji niemieckiej, a „Kurjer Wil.” wmawia, że ludność polska w Litwie pała miłością do państwa litewskiego, zwalczą zaś jedynie nacjonalizm litewski! Niechże „Kurjer Wil.” przytoczy na poparcie swego twierdzenia chociażby jeden fakt, chociażby jeden objaw przyłożenia ręki dobrowolnie przez społeczeństwo polskie do budowy państwa litewskiego, natomiast dowodów w przeciwnym kierunku nie potrzebujemy chyba cytować, bo nie będą one nowością ani dla redakcji „Kurjera Wil.” ani dla kierowników „Wil. Biura Informacyjnego”.

„Kurjer Wil.” utrzymuje, że nacjonalizm litewski mało dba o mniej lub więcej lojalną wobec siebie postawę mniejszości, zamieszkujących Litwę i na dowód wskazuje na Żydów i Niemców, którzy obecnie są doprowadzeni do ostateczności i występują wspólnie z Polakami w obronie swych praw. Oczywiście nacjonalizm jest wszędzie jednakowy i wszędzie jest bezmyślny. Bynajmniej nie chcemy twierdzić, że gdyby Polacy kowieńscy a nawet wileńscy wykazali patryjotyzm państwowo-litewski, szowiniści litewscy zniknęli by z powierzonej im ziemi i nie szukali by pola do popisu. Ale przekonani jesteśmy, że innem byłoby wówczas położenie ludności polskiej w państwie litewskim, niż obecnie. Walka z zakusami wynaradawiającymi była by łatwiejszą a nastrój antypolski nie obejmował by tak szerokich sfer ludności litewskiej. To właśnie i tylko tyle miała nasza notatka sprawozdawcza do zarzucenia zbyt jednostronnym wywodom p. Wielhorskiego.

*

Zgoła innej dziedziny dotyczy drugi atak „Kurjera Wil.” przeciwko „Przegl. Wil.”. Skromna pobieżna nasza wzmianka o „Reducie”, która przez czas pe-

wien zaprzętała uwagę społeczeństwa polskiego w Wilnie, wywołała na szpaltach „Kurjera Wil.” ostrą odpowiedź, sprowadzającą się właściwie do twierdzenia, że dlatego „Przeładowi Wil.” nie podoba się to przejście się Wilna sprawą „Reduty”, ponieważ redaktor jego nie lubi i nie uczęszcza do teatru wogóle!

Przynajmniej się, że nie przyszło by nam do głowy dopatrywać się intencji „Kurjera Wil.”, gdyby ten wystąpił np. w obronie petycji restauratorów o przedłużenie godzin wyszynku, w upodobaniu jego redaktora do alkoholu! Była by to z naszej strony niczem nieusprawiedliwiona wycieczka osobista. Tak też musimy traktować rzeczony występ „Kurjera Wil.” przeciwko naszemu piśmie.

Możemy zapewnić redakcję „Kurjera Wil.”, że nasza krytyka zapałów „reduutowych” Wilna bynajmniej nie wypływa z usposobienia antiteatralnego naszego redaktora, bo w takim razie występowałibyśmy przeciwko teatrowi wogóle, lecz jedynie z głębokiego przekonania, że w obecnych ciężkich czasach, w chwili ostrego kryzysu ekonomicznego, gdy coraz większe rzesze ludności nie mają co jeść, lekkomyślnością karygodną jest zbieranie funduszków na uruchomienie zbytowego teatru, który potrafił wydać przeszło 100.000 zł., zanim jeszcze przystąpił do grania. Uważamy za marnowanie grosza publicznego udzielenie przez rząd i radę miejską ogromnych w stosunku do środków społeczeństwa, kraju i państwa subwencji na eksperymenty artystyczne, bez których doskonale może się Wilno obejść i które mogą interesować tylko garść wyrafinowanych estetów.

Znając dobrze społeczeństwo polskie w Wilnie, jego poziom intelektualny i artystyczny, nie wierzymy, by ten afekt dla „Reduty” był szczery i wypływał z głębszych pobudek. Jesteśmy najświęciej przekonani, że takiego kosztownego teatru, jak „Reduta” Wilno ani potrzebuje ani go utrzymać potrafi. Ot, moda, owczy pęd i nic więcej.

Zważywszy to wszystko, a przedewszystkiem śmieszne zachwyty nad teatrem, którego jeszcze większość społeczeństwa nie zna i nie oglądała na własne oczy, trudno nie określić całej tej hałaśliwej akcji w sprawie „Reduty” mianem lekkomyślnego wybryku, zupełnie oczywiście niezależnie od osobistych upodobań teatralnych redaktora „Przeł. Wil.”.

*

Nic dziwnego wszakże, że „Kurjer Wil.” pochłonięty jest „Redutą” a może jeszcze bardziej kwestją nauki gry na instrumentach dętych w szkołach średnich i wykazuje naogół zadziwiająco niefrasobliwość, skoro się zapatruje na sytuację ekonomiczną i finansową z takim optymizmem, jakiego by mógł mu pozazdrościć sam Grabski w chwili największego swego powodzenia.

W № 259 tego „niezależnego organu demokratycznego” z d. 13 listopada czytamy wyraźnie następujące oświadczenie: „Zgóry można powiedzieć, że w porównaniu z sytuacją z przed miesiąca — niema już powodów do tylu pesymistycznych refleksyj, które od lata b. r. wywoływały często panikę... A dalej: „Z objawów pomyślnych należy zanotować stabilizację złotego, którego kurs stale się trzyma o 15 proc. poniżej parytetu, przy tendencji nie wskazującej na jakiegokolwiek wahania... Zaznaczyć należy, że artykuł ukazał się nazajutrz po gwałtownym spadku złotego, który pośrednio spowodował obecne przesilenie ministerjalne. Oczywiście, że wobec tak kategorycznych zapewnień redakcji nie może być mowy ani o nędzy ani o bezrobociu, które jest w „Kurjerze Wil.” stale

bagatelizowane. Tak np. w jednym z poprzednich numerów figuruje pod szumnym tytułem „Pomyślnie objawy” wzmianka o przyjęciu do pracy *kilkudziesięciu* robotników, gdy w tym samym numerze wiadomość o zwolnieniu *kilkuset* robotników przemyciona jest pod bezbarwnym tytułem. „Ilu robotników pracuje w przedsiębiorstwach wileńskich!”

Ten urzędowy optymizm jest niezmiernie uderzający w „niezależnym organie demokratycznym” i ma zapewne na celu ułatwienie akcji zbierania funduszków na rzecz „Reduty”... Dziwny jednak jest ten po-wojenny nasz demokratyzm!

Licz.

Przełąd prasy żydowskiej.

(Polska z Rosją — głos posła Wygodzkiego. — Posel Chomiński o mniejszościach narodowych.

„Di Cajt” zamieszcza artykuł posła Wygodzkiego p. t. „Polska na rozdrożu”.

Czytamy tam:

„Przyszłość odrodzonego państwa polskiego powinna być zbudowana nie na zasadzie romantyzmu i manji wielkości, lecz na podstawach etnograficznych i co najgłówniejsze na mocnych podstawach gospodarczych. A tę podstawę stanowią nieograniczone rynki rosyjskie. I dlatego też, trzeba było żyć w zgodzie z Rosją i połączyć się z nią w jedną unję (1).

Co się tyczy wewnętrznej polityki, a szczególnie żydowskiej, raczej antyżydowskiej, to ma się rozumieć, że była ona wytworem wyżej wymienionych stosunków. Na podstawie psychologii niewolniczej zbudowali wielcy ludzie do małych interesów „budyńki ideologiczne” mające służyć wytycznymi dla polityki względem Żydów.

Najgłówniejszym środkiem, którym się posługiwano i posługuje się dotychczas w walce z Żydami, było postawienie Żydów w najgorsze warunki, podczas gdy Polacy uzyskiwali najlepsze. Wewnętrzna i zewnętrzna klęska Polski udowodniła, że wszystkie te wyżej wzmiankowane „ideologie” były chorobliwymi fantazjami, niewolniczej manji wielkości, nie polegające na logice i prawdziwych faktach, lecz na chorobliwych iluzjach, uczuciach i nastrojach.

Polska stoi teraz na rozdrożu. Dotychczasowe postępowanie jest nadal wykluczone. W świetle myśli obiektywnej i nieklamanej wiedzy trzeba zrewidować politykę państwa. Trzeba obrać nową drogę dopóki jeszcze nie jest późno”.

W nowopowstałym piśmie „Wilner Mitogblat”, pragnącym służyć idei zblżenia narodowości nasz kraj zamieszkujących znajdujemy dłuższy wywiad, jaki miał współpracownik tegoż dziennika z posłem Ludwikiem Chomińskim na temat obecnego przesilenia rządowego i roli t. zw. mniejszości narodowych w państwie. Przytaczamy zeń następujące końcowe ustępy:

„Koalicyjny rząd parlamentarny przyniósłby na jednym punkcie pożądaną zwrot w stosunkach politycznych w Polsce. Mam na myśli, gdyby do tego rządu weszli przedstawiciele t. zw. mniejszości narodowych, a chociażby najbardziej gospodarczo wyrobiony element żydowski.

Byłoby to może zerwaniem z absurdalną tradycją narzuconą dotychczas zwycięsko przez endecję, że elementem budującym państwo mogą być w Polsce tylko Polacy. Bez względu na skład przyszłego rządu nie należy się spodziewać natychmiastowej poprawy stosunków gospodarczych. Rzecz to bowiem w dzisiejszym stanie niemożliwa. Ale wstrząs moralny, który w państwie ustąpienie p. Grabskiego spowodowało, może wyjść na dobre przez konieczność rewizji dotychczasowych metod postępowania oraz potrzebę wzięcia na siebie odpowiedzialności przez całość obywateli państwa za własne i tegoż państwa losy”.

Zastępca.

Bibliografia.

D-ras J. Szlapelis. *Lietuviu ir Rusu kalbu žodynas sudare...* Vilniuje „Žaibas“ (Ruch) 1921—1925 m.

Pomimo, że praca nad słownikiem litewskim datuje się prawie od początku wieku XIX, — oczywiście pomijamy Szyrwida, — to jednak nie można powiedzieć żeby Litwini posiadali choć jeden słownik już nie w znaczeniu „doskonałym” ale „dostatecznym i poprawnym”. Ku temu w ostatnich latach zdążył z całym zapałem nieodżałowanej pamięci prof. K. Buga i, można powiedzieć, że w tym kierunku zrobił bardzo dużo, a trud swój swego krótkiego życia chciał światu pokazać, drukując słownik języka litewskiego, ale śmierć nieubłagana, narazie pracę przerwała. Wydawnictwo to wszakże miało charakter ściśle naukowy, nadające się więcej dla ludzi nauki lub inteligencji, należącej do tak zwanych sfer „miłośników języka”.

Życie codzienne, praktyczne, dla szerszych warstw społecznych, wymaga również słownika języka litewskiego, w którym można byłoby znaleźć to, co w codziennym życiu jest potrzebne i przytem, żeby słownik taki nosił cechę pracy poważnej, niedyletanckiej, która w tym wypadku dużo złego może zrobić. Do stworzenia podręcznego, ale dobrego, zdaje się, dąży niestrudzony miłośnik języka litewskiego dr. Szlapelis, który rozpoczął w 1921 r. drukowanie w Wilnie słownika litewsko rosyjskiego. Praca jego, aczkolwiek przerywana, obecnie znów odżyła i zaczyna w szybszym tempie się posuwać. Ostatnio wyszedł arkusz 14 (stronica 224), kończący się na wyrazie *iszsmaluoti*.

Należałoby zaznaczyć przy okazji, że autor wspomnianego słownika, w roku 1920 rozpoczął druk słownika litewsko-polsko-rosyjsko-niemieckiego, ale niestety po ukazaniu jednego arkusza, więcej nie wyszło. A szkoda, wszak słownik taki dziś jest bardzo potrzebny i mógłby rachować na większy pokup.

Wkońcu warto zwrócić uwagę na fakt doniosły, że czas wielki na naukowe opracowanie słowników najważniejszych dialektów litewskich, które, wskutek większego wpływu miast na wieś i nowego życia państwowego, stale tracą swój charakter i gdy się w czas je nie utrwali w słowniku, będzie to dla nauki strata niepowetowana.

Wł. Sak.

KRONIKA.

„**Diekoratwnyj narod**”. Podczas uroczystości z powodu dwudziestolecia istnienia „Sokoła” w Wilnie, gdy ulicami maszerowała gromada sokolów w swych nieco teatralnych strojach, zdarzyło się nam usłyszeć charakterystyczną uwagę jakichś dwóch przyglądających się pochodowi Rosjanek: „Wot diekoratwnyj narod!” W intonacji mówiącej nie czuć zresztą było żadnej złośliwości, raczej może lekki odcięt podziwu.

Określenie to przyszło nam na myśl, gdyżmy przeczytali nieskończenie długą listę odznaczonych orderem „Polonia Restituta” tym razem nawet bez żadnego istotnego powodu — ot tak z racji siódmej rocznicy ustanowienia tej odznaki. Czego, czego, ale orderów w Polsce nie zabraknie! Wkrótce obywatel polski, nie ozdobiony jakimkolwiek orderem, będzie stanowił okaz wyjątkowy, rażący, na podobieństwo gentelmana, któryby dziś się ukazał w publicznym miejscu boso lub bez jakiej innej niezbędnej części ubrania! Brak orderu będzie nieomylną oznaką, że dany osobnik albo należy do mniejszości narodowych albo jest jawnym komunistą. Każdy bowiem prawomyślny Polak, zwłaszcza o ile jako adwokat zdobył szeroką praktykę, jako kupiec wykaże swą ruchliwość i zapobiegliwość, a jako literat nie wykaże talentu, dostanie niewątpliwie order „Polonia Restituta” trzeciego, czwartego lub w ostateczności piątego stopnia. Dowodem są nazwiska

świeżo odznaczonych: p.p. M. Jamonta, Z. Nagrodzkiego i S. Życkiej.

Zastaw się a postaw się. Mimo ostrego kryzysu ekonomicznego, mimo oplakanego stanu finansów miejskich, municipalność wileńska szczerze szafuje publicznym groszem na rozmaite nieprodukcyjne i zgoła fantastyczne cele. Niedawno Rada Miejska uchwaliła wyasygnować aż 3000 zł. na sztandar dla 85 pułku, następnie wyznaczyła hojne subdydja dla „Reduty”, ostatnio wreszcie udzieliła parotysięcznej zapomogi jakiemuś wydawnictwu, mającemu reklamować Polskę zagranicą. A na inwestycje miejskie stale brak pieniędzy!

Także krajowce! Nigdy nie mieliśmy przesadnego wyobrażenia o potęgę i liczebność naszego obozu „krajowców”. Zdawaliśmy i zdajemy sobie sprawę z tego, że ideologia krajowa, wobec dominującego wszędzie, a zwłaszcza u nas, nacjonalizmu nie może liczyć na popularność i że dużo wody w Wilji i Niemnie upłynie, nim zapanuje ona w umysłach b. obywateli W. Ks. Litewskiego. Okazuje się jednak, że mamy sprzymierzeńców tam, gdzieśmy się tego najmniej spodziewali. Zawsze sądziłismy, że „Słowo” jest organem monarchistycznym, że propaguje idee, jeszcze mniej wprawdzie popularną od naszej, ale tak dalece oderwaną od życia, że nic wspólnego mieć ze sobą nie możemy.

Z artykułu p. Cata w № 251 „Słowa” dowiadujemy się jednakże, że jest on „jednym z pierwszych dziennikarzy polskich, który zaczął walkę z centralizacją polskiej kultury, ducha i myśli w stolicy państwa” i że „Słowo” w imię tego hasła decentralizacji otworzyło rubrykę „Echa Krajowe”, gdzie mogą się popisywać korespondenci z różnych zakątków naszego kraju i gdzie mogą być zamieszczane umiejętnie spreparowane wycinki z gazet prowincjonalnych. Oświadczenie to wielce nas ucieszyło, przekonywując nas, że nie jesteśmy znów tak bardzo odosobnieni, szkoda tylko, że p. Cat zwrężył niezmiernie pojęcie „krajowości”, sprowadzając je do zagadnienia „czy ziemia nasza spełni swe historyczne zadanie, czy stanie się waleń ochronnym dla państwa całego, czy też nie?”

Niestety na tym punkcie różnimy się radykalnie i żałować wypada, że o taki drobiazg rozbija się nasza jedność.

Tajemniczy napad. Po dłuższym okresie spokoju na granicy polsko-litewskiej przed paru tygodniami wydarzył się znów wypadek dywersji szaulisów na terytorjum państwa polskiego, o którym prasa na razie głośno trąbiła, a potem nagle ucichła, nie podając żadnych szczegółów o tem, co wykryło śledztwo. Napad na Cejkinie, miasteczko w pow. Święciańskim przedstawia się niezwykle zagadkowo, jako że miał na celu jedynie zniszczenia dokumentów, przechowywanych w miejscowym urzędzie gminnym. Dlaczego szaulisi litewscy zdecydowali się na ryzykowne bądź co bądź przedsięwzięcie przekroczenia granicy w tak blahym celu — pozostaje zagadką, którą być może już rozstrzygnęło urzędowe śledztwo, a którego wyników z niewiadomych powodów prasa polska nie chciała czy zaniebała podać.

Ignorancja zagranicy. Znaną jest ignorancja Zach. Europy co do geografji i historji Europy Wschodniej, zwłaszcza Litwy, Polski i Rusi. Przecież niedawno jeszcze pisma warszawskie zamieściły reprodukcję koperty listu, wysłanego do Warszawy z Londynu z jakiegoś biura pół-urzędowego, z oznaczeniem *Rosji* jako państwa, w obrębie którego ma się znajdować Warszawa.

Pojęcia zaś Litwy i Polski całkiem już mętnie się przedstawiają w umyśle nawet wykształconego Europejczyka. Redaktorowie świeżo wydanego np. № 2 „Bulletino per la commemorazione del XVI centenario del Concilio di Nicea” (Wydawnictwo S. Congregazione per la Chiesa Orientale) nie wiedzą, zdaje się, wogóle o istnieniu niepodległej Litwy, kraj ten bowiem figuruje w rubryce *Polonia!* A kiedyś na Zachodzie termin Litwania był doskonale wszystkim znany i nie budził żadnych wątpliwości.

Ziarnko do ziarnka... Znany poeta białoruski J. Ku pała, w drodze powrotnej z Niemiec i Czechosłowacji do Mińska, przez Polskę, pragnął odwiedzić Wilno, gdzie spędził dłuższy okres swego życia, gdzie dojrzał artystycznie i gdzie przeżył ciężkie chwile literata dorabiającego się sławy. (Obecnie Kupale rząd Białorusi /Sowieckiej wyznaczył dożywotnią pensję według najwyższej normy zarobkowej).

W Warszawie władze odmówiły mu pozwolenia zatrzymania się w Wilnie, dając tylko wizę tranzytową.

Treść numeru: Tonący wóz. — *Drybicz*. Kultura i polityka. — *Kal*. Wynaradowanie pod hasłem misyjnym — *Sytuacja gospodarcza Wileńszczyzny*. — *Licz*. Z mego notatnika. — *Zastępca*. Przegląd prasy żydowskiej. — Bibliografia. — Kronika